

WIECZORY W RODZINNE



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

CHMURY ŁODOWE.



Nieprędko zapewne ludzie zaczęli szybować balonami po szlakach powietrznych z takim bezpieczeństwem, jak dziś żeglują po morzu; pomimo znacznego udoskonalenia balonów w ostatnich czasach, żegluga napowietrzna nie wchodzi wcale w użycie. Dwaj inżynierowie francuzcy wynaleźli już nawet sposób

Nie można jednakże powiedzieć, aby balony żadnego nie przynosiły pożytku, między innymi służą one naprzykład do spostrzeżeń meteorologicznych, to jest do badania zjawisk powietrznych. Atmosfera otacza ziemię naszą gazową powłoką niezmiernie rozległą, niepodobna obliczyć dokładnie, na jakiej wysokości ponad ziemią znajduje się ostateczna jej granica, wiadomo tylko, że powietrze, najbardziej zgęszczone przy samej powierzchni ziemi, staje się coraz rzadsze w miarę wysokości, zapewne też nieznacznie się rozplywa aż gdzieś w niezgłębionych przestrzeniach wszechstworu.

Tak jak wody oceanu, tak i fale powietrzne w nieustannym są ruchu, wiatry są to prądy, płynące w różnych kierunkach. Ludzie znają dokładniej trochę tę tylko najniższą warstwę atmosfery, którą mają ponad głowami swemi; są wprawdzie góry bardzo wysokie, sięgające warstw jej najwyższych, ale nie łatwa to sprawa wdrapywać się na te szczyty dla obserwacji. Urządzają czasem obserwatorya na górach, lecz wybierają do tego niezbyt wysokie, bo na najwyższe niepodobna byłoby wynieść naukowych przyrządów potrzebnych do obserwacji i materiałów na urządzenie jakiegokolwiek budynku.

O wiele łatwiej i dogodniej jest wznieść się balonem, a i pożytek większy z takich obserwacji, bo balon nie pozostaje na jednym miejscu, lecz płynie dalej i wyżej, można więc dowiedzieć się, co się dzieje w powietrzu w rozmaitych wysokościach i spostrzeżenia te porównywać. Nieraz naprzykład, gdy całe niebo ponad powierzchnią ziemi pokryte jest gęstymi chmurami, wyżej najpiękniejsza pogoda panuje, a żegla-

kierowania balonami, opowiadaliśmy o tém dawniej naszym czytelnikom, a jednak nie słyhać, aby kto naprawdę wybrał się w podróż takim balonem. Widocznie są jeszcze niemałe przeszkody i trudności do zwalczenia, bo nie dość balon w powietrzu popychać, trzeba przytém pokonać siłę wiatru, gdy ta go w inną stronę ciągnie. Balon musi być koniecznie bardzo lekki, aby mógł się unieść w powietrze, wszelkie zaś maszyny, nadające ruch, zawsze składają się z różnych części metalowych, a tém samym ciężkich, im większą posiadają siłę, tém są cięższe. Trudno przewidzieć, czy nowy jakiś wynalazek nie rozstrzygnie kiedyś tego zadania, lecz dziś o podróżach napowietrznych niema co jeszcze myśleć.

rze napowietrzni, przepłynawszy w balonie tę warstwę chmur, wiszącą w niższej części atmosfery, widzą nad sobą jasne, błękitne niebo, gdy pod stopami ich rozciąga się szara opona, która im ziemię zasłania. Rok temu w Listopadzie astronomowie zapowiadali wspaniałe widowisko gwiazd spadających, o którym opowiadaliśmy w swoim czasie, jak zapewne przypominają sobie czytelnicy. W Paryżu w tej porze takie nieustanne panowały słoty, niebo tak gęstymi chmurami było pokryte, że niepodobna było pięknego zjawiska oglądać. Tylko żeglarze napowietrzni potrafili tę przeszkodę pokonać, wsiedli do balonu, wzniesli się ponad chmury, a podczas gdy potoki deszczu zalewały miasto, oni tam w jaśniejszych, pogodniejszych przestrzeniach podziwiali w całej okazałości przepyszny deszcz gwiazdzisty.

Czasem żeglarze napowietrzni wznosząc się coraz wyżej, napotykają po drodze dwie i trzy warstwy chmur, które leżą, jedno nad drugimi w pewnych odstępach, a i prądy powietrzne, to jest wiatry, płyną często na różnych wysokościach w kierunkach odmiennych, wręcz przeciwnych. Ponad ziemią naprzykład wieje wiatr wschodni, a gdzieś wysoko wiatr zachodni; nieraz też korzystali z tego żeglarze napowietrzni, gdy zapędzili się za wiatrem zadaleko, spuszczała balon niżej, lub podnosili wyżej, a wnet zaczynała płynąć w innym kierunku.

Łatwo bardzo zrozumieć, jakim sposobem pogoda trwać może w wyższej warstwie atmosfery, podczas gdy z chmur ciężkich, wiszących niżej ponad ziemią, spływa na nią deszcz obfity. Trudniej jednak wyobrazić sobie, że bywa czasem i naodwrot: tam w górze, niezmiernie wysoko, z chmur nagromadzonych zaczyna deszcz padać, tymczasem krople te nie dochodzą aż do ziemi, bo w powietrzu niedość nasyconém wilgocią ulatniają się, rozpraszają na drobne kropelczki pary i nikną. Bywają także chmury tak przezroczyste, że nie zasłaniają słońca i błękitu nieba, przyśmiewają je tylko nieco. Chmury te złożone są z mgły białej, błyszczącej w promieniach słonecznych i prawie suchej, przepływając przez środek jej balouem, nie doznaje się wcale uczucia wilgoci.

Żeglarze napowietrzni napotykają często na tych wysokościach w miesiącach zimowych chmury lodowate, które składają się z drobnuteńkich kryształków zmarzniętej wody. One to, dostawszy się niżej, łączą się, tak samo, jak kropelki zwyczajnej pary i tworzą płatki śniegowe. Taka mgła lodowata zapewne i latem unosi się w tych niezmiernych wysokościach, gdzie już balony nie dolatują, gdyż ludzie nie mogliby oddychać w tak rozrzedzoném powietrzu. Ona to tworzy owe chmurki pierzaste, zwane *cirrus*, które pływają gdzieś w niezmiernych głębiach atmosfery i nie sprowadzają deszczu na ziemi. Ma to być widok czarujący, gdy promienie słońca padną z góry na obłok takiój mgły lodowej. Wszystkie kryształki błyszczą, migocą tęczowemi barwami, jakby pyłki rubinów, szmaragdów i różnych drogich kamieni. Rysunek nasz przedstawia balon, unoszący się wśród obłoku mgły lodowej.

Meteorologia, nauka o zjawiskach powietrznych, ma bardzo ważne dla ludzi znaczenie. Wszystkie te ruchy, te prądy atmosferyczne, powstają w skutek pewnych przyczyn i odbywają się w skutek pewnych praw, które dziś mało są znane, lecz z czasem mogą być dokładniej zbadane. Wówczas nauka potrafi zapewne, nie tylko wytłómaczyć, ale i przewidywać naprzd wszelkie zmiany pogody; jakżeby to naprzykład sko-

rzystali na tém rolnicy, gdyby zawczasu wiedzieli na pewno, czy rok będzie suchy, czy wilgotny, w których miesiącach najwięcej deszczów przypadnie i t. d. Przepowiednie tego rodzaju, dawniej, a i dziś jeszcze czasem w kalendarzach zamieszczane, nie są wcale prawdziwe i nikt rozsądny w nie nie wierzy; ale gdy astronomowie zapowiedzą zaćmienie słońca, lub inne zjawisko podobne, nikt o tém nie wątpi, że przepowiednia się sprawdzi, bo prawa, rządzące temi zjawiskami, dokładnie są zbadane. Już i teraz niektóre zjawiska powietrzne poznano lepiej, wiadomo naprzykład, że burze posuwają się zawsze pewnymi drogami, które można z góry oznaczyć. Gdy więc gdzieś straszliwa nawałnica wybuchnie, uczeni ludzie wiedzą, z kąd ona przysła i gdzie pójdzie dalej, umieją nawet i szybkość tych prądów obrachować. Natychmiast depesze telegraficzne, które bieżą chyliej daleko od najgwałtowniejszych burz i wichrów, niosą wiadomość do miejsc, tą klęską zagrożonych: Miejcie się na baczności, takiego to dnia nawiedzi was okropna burza. I wnet każdy stara się skorzystać z tego ostrzeżenia, żeglarze zwłaszcza przedsięwiorą środki ostrożności, uchodząc z okrętami do bezpiecznych przystani.

PIOSNKA SIEROTY.

Gdzież podziały się owe
Wieczorynki zimowe,
Kiedy w chacie nie brakło łuczywa;
Gdy z siostrami i z matką,
I z gwarliwą czeladką
Przedłłam kądziel, dziewczeczka pierzchliwa!

A matusia prawila:
Jak to temu lat siła,
Stary ojciec pogonił w kraj świata;
Jak nadciągly tu chmury,
I uderzył grom z góry,
I w posadach zachwiała się chata.

Jak uciekły bociany
Z gruszy wichrem złamanój,
I jaskółki ubiegły z pod strzechy;
I nie było ptaszyny,
By wśród smutnej doliny,
Zakwiliła piosenkę pociechy.

Aż nareszcie zdaleka,
Ojciec wrócił kaleka,
A miał kulę drewnianą u nogi;
Ale twarde miał ramię,
Więc z niedolą się łamię,
Aż podźwignął ubogie znów proggi.

Ale za dni nie wiele
Dziad zadzwonił w kościele,
I na ementarz pociągła drużyna;
A po ojca pogrzebie,
Znów grom błysnął na niebie,
Z biednej chaty, znów gruz i perzyna!

Dzisiaj prządka uboga,
U cudzego ja proga,
Jak kukułka w kalinie zielonój,
Pieśnią żalę się z cicha,
A pierś w znoju usycha,
Ciężkoż w słotę nie znaleźć uchrony.

A nad głową, u góry,
Czarne kłębią się chmury,
Piorun wężem ognistym migota;
Serce krzepnie od trwogi,
I w powodzi lgną nogi,
Gdzież się biedna podzieję sierota.

Jeno czasem mi we śnie
Białe skrzydło szeleśnie
I stróż anioł poszepnie mi słowo:
„Czego płaczesz, o dziecię,
Jest ostoja na świecie,
Dla sieroty pod darnią grobową.

Gdy ból starga twe siły,
Miękką ziemią mogiły
Łzę, spalone ochłodzi powieki,
Piers ostudzi spragnioną,
I murawą zieloną
Upowije jak matka na wieki.

I po trudach, po znoju,
Zaśniesz dziecię w pokoju,
A twa gwiazda wypłynie z za chmury;
I po złotym promieniu
Pomknie duch twój w milczeniu,
Tam wysoko, wysoko do góry!”

Seweryna Duchńska.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M.....a

(Dalszy ciąg).

Rodzice najzupełniej się na zamysły syna zgodzili, nawet dziad stary przystał na Jadwisie, z tej głównie szlacheckiej zasady wychodząc, że żenić się „im bliżej tém lepiej” a Zborkowie najbliższymi byli właśnie sąsiadami. Ustroili się zatem pięknie ojcowie i poszli do Zborków na radę. Zborkowie przystali chętnie na wszystko, młody Jaśko, czekający kędyś w sadzie, wpadł na dany przez ojca znak i upadł do nóg państwu Zborkom, dziękując, iż go na zięcia brali, potem uściśkano się, ułożono wszystko, jak, co, i gdzie nowy dworeczek się dla państwa młodych wybuduje i t. d. a gdy już wszystko to jak należy postanowiono, wtedy zawołano Jadwisi, aby jej wolę rodzicielską oznajmić.

Panna przybiegła natychmiast, zgrabnie ubrana, choć z zakasaniem po ramiona rękawami i z pełnym fartuchem ziarna jakiegoś, tak, jak ją ojcowe wołanie zastało. Wysłuchała woli rodzicielskiej ze zdziwieniem, bo jej się coś podobnego ani śniło, a potem, zamiast upaść do nóg rodzicom, dziękując, iż o los jej dbają i własnym nowym dworkiem i całym gospodarstwem chcą darzyć, obróciła panna zdumione a śliczne oczy na pana Jaśka młodego i rzecze:

— Jakto, sąsiedzie, to pan Zawisza Czarny, ze trzydzieści prawie lat starszy od ciebie, i od tyłuż i więcej orężem i radą, służący krajowi tak, że aż sława o tém na cały świat idzie, teraz dopiero zamyśla o własnym dworcu i gospodarstwie, a ty, sąsiedzie, jużbyś dziś choiał w cieplej chacie odpoczywać? I naprawdę nie wstydzisz się takich zamiarów? A co! nie piecuch więc ty jesteś, jakem ci to, mając ledwo sześć latek, mawiała? A otóż powiem ci, że szczęście to, iż nie jest mój brat, bo gdybym takiego rodzzonego brata miała, tobym płakała nad nim ze wstydu!

I to rzekłszy, zabrała się panna i poszła napowrót do gospodarstwa, zostawiając wszystkich tak zdumionych, że prawie oniemieli. Młody Jaśko zaś tak się okrutnie za-

wstydził tego mianowicie, że w słowach panny Jadwigi gruntowną uczuł racyą, iż mimo całej swój dworskości i światowego układu, nie wiedział, gdzie oczy podzieć ze wstydu. Dopiero dziad Jaśko, pierwszy ochłonawszy, krzyknął z gniewem:

— A otóż takie to są skutki, kiedy dziewczucha jest mądra, jak jaki ksiądz i w księdze czyta!

Ale i dziad Jaśko i wszyscy po namyśle zmiarkowali, że Jadwisia miała słuszną rację, bo choć obaj starzy Jaśkowie z Dębinki i pan Zborek Michał, mimo ożenienia, stawali do boju w każdej potrzebie, gdy król rozesłał wici, to przecież pożenili się oni starszymi, niż to młody Jaśko zamierzał i co najważniejsza, daleko więcej wojen odbyli, niż młody giermek, który choć nieraz też dobrze śmierci w oczy zajrzał, to przecież najwięcej z dyplomacją po królewskich dworach dotąd jeździł.

Nie pogniewał się zatem nikt na Jadwisie, choć smutno bardzo trzej Jaśkowie do swój Dębinki wrócili. Mieli wszyscy żal pewien do niej, i państwo Jaśkowie cieszyli się odtąd synem, nie śpiesząc podzielać swój uciechy z sąsiadami. Młody Jaśko pielęgnował piękną ojcową stadninę, pieścił konik swego bojowego, pomagał w gospodarstwie, a czyścił i w pogotowiu utrzymywał broń i zbroję, o ile jako giermek już jej używał, myślał przytém pocichu:

— Ejże, moja panno, nie bądź taka dumna, bo jeszcze ja może zdobędę taką sławę, że płakać będziesz tego, iżem nie jest twój brat!

A wtém jednego pięknego poranku zatętniały kopyta pod Dębinką i wpadł dworzanin Władko, powołując giermka Jaśka z Dębinki do rycerza Zawiszy Czarnego, jadącego w świat.

XVII.

Królowie w gościnie.

Na ten raz król Jagiełło to wysłał pana Zawiszę na zjazd do Wrocławia, ale zaraz następnie król Zygmunt miał wojnę w Czechach, a rycerz Zawisza Czarny „za hańbę byłby sobie poczytał, gdyby miał opuszczać Zygmunta w czasie wojny” *). A ciężka to, i długa, i okrutna była wojna. A potem była znowu wielka wojna Polski z Krzyżakami, na której rycerz Zawisza Czarny także walczył dzielnie, bo nie umiał inaczej, a później na zjazdach pracował gorliwie około dobra Polski, bo też inaczej nie umiał.

Nakoniec w Lutym r. 1424 była w Krakowie koronacja wspaniała królowej Zofii, zwanój Sonką, księżniczki holszańskie. Na uroczystość zjechało mnóstwo zagranicznych książąt, hrabiów i panów rycerzy, kardynał Branda, król Eryk Duński i król Zygmunt, i niezliczona moc dostojników z najodleglejszych stron z zagranicy.

„Otóż przy tej uroczystości, po uczcie, wyprawionój z wielką wytwornością i przepychem, po tańcach i po harcach rycerskich, zaprosił w sobotę, przed pierwszą niedzielą postu przypadającą, na dzień 11 Marca, Zawisza Czarny wszystkich trzech królów, i książąt wszystkich, i panów, i całe duchowieństwo z kardynałem Brandą do siebie na obiad. Jak drugi Wierzynek wyprawił tę ucztę, czyli jak Długosz powiada, „Zawisza rycerz, w chrześcijaństwie nie mający podówczas sobie równego, zaproszonych gości wspaniała uczcił biesiadą. Z podziwem przypatrywali się obcy książęta przepychowi polskiemu i mawiali, że o wielu rzeczach polskich z podziwieniem słyszeli, ale daleko więcej dowiedzieli się, patrząc własnymi oczyma”.

Gdy tedy wszyscy siedzą u uczty, a czterej malcy, synkowie Zawiszy Czarnego, służą, jako szlachetne pacholeta, trzem królom, a muzyka wspaniała uwesela biesiadę, przystąpił pan Zawisza do królów i spytał, czy zaszczytwszy rycerza swoją pod jego dachem bytnością, pozwolą uczcić się i pieśnią rycerską prawdziwą taką, jak minstrele po zamkach starych ry-

*) Długosz.

cerskich śpiewają, taką, która jak światło w tejże samej chwili brzmi, w której się rodzi i zabłyśka?

Król Jagiełło uprzejmym skinieniem i przyjaznym słowem przystał na prośbę rycerza, a dwaj królowie pytali ciekawie:

— Jakto, więc i poetów na dworach mają polscy rycerze?
— a Zawisza Czarny zawołał tymczasem:

— Pacholiku mój Złoty, gdzie jesteś? — Natenczas muzyka umilkła, i wszyscy umilkli, wyszedł młody Jaśko w bogatej giemka zbroicze z pomiędzy grona giemków i z lutnią w rękach stanął przed królami, a Zawisza Czarny rzekł do nich, gdy zdawali się zdziwieni:

— Pacholikiem przywykłem zwać tego giemka, bom go pacholikiem na braterstwo za pieśni jego nieuczzone pokochał. I zwracając się do giemka, mówił:

— Pacholiku Złoty, bracie mój, powiedz, czy wiesz, co wre w duszy mojej w tej chwili?

— Wiem, bracie rycerzu — odpowiedział.

— To wyśpiewaj duszę moję przed królami!

Złoty pacholik spojrział w czarne oczy rycerza, powiódł wejrzeniem po królach, kardynale i innych gościach, pochylił głowę i pomyślał, dotknął dźwięcznej lutni i tak śpiewał:

O mocarze tego świata,
Niech was błogosławi Bóg,
Iż gościecie, jak u brata,
Przestąpiwszy niski próg!

Oto dla mnie, dla Zawiszy,
Pożądana chwila jest,
Gdy królowie w zgodnej ciszy
Dają ludziom zgody chrzest;

Taka cisza, taka zgoda,
To prac moich wszystkich cel,
Kędy zgoda wsparcie poda,
Moc obrasta ją, jak chmiel.

A tej mocy nam potrzeba,
Chrześcijaństwu trzeba jęj,
Gdy ma bronić słońca z nieba,
Krzyża swego, wiary swęj!

Na to święcę życie całe,
Na to oręż, bój i trud,
By na krzyża - słońca chwałę,
Zbratać chrześcijan w jeden lud!

Oto wschodzi księżyc srogi,
Chrześcijanie, baczcie nań,
Zanim w krwawych łunach

[trwogi
Przyjdzie straszną płacić dań!

O królowie chrześcijańscy,
Zwiążcież wy się zgodą wraz,
Pomazańcy wyście Pańscy,
Pański Krzyż dziś wzywa was!

Do oręża, do oręża!
Krzyż obrońców z nas chce mieć,
Stańmy wraz w jednego meża,
Króle, pany, ksiądz i kmieć!

Gdy dwurożny księżyc wschodzi,
Gdy pohaniec grozi nam,
Nasza zgoda mu zagrodzi
Do chrześcijańskich przystęp bram.

A w obliczu kto pogaństwa
Bratnią walkę chciałby wieść,
Ten jest wrogiem chrześcijaństwa,
Ten rycerską płami cześć!

Ale niema, niema, niema,
Wśród rycerzy takich dusz!
Czyja ręka oręż strzyma,
Ten dziś sługą krzyża już!

Słudzy krzyża, słudzy Boży,
Ja na krzyż zaklinam was,

Póki śmierć was nie położy,
Brońmy krzyża, brońmy wraz!

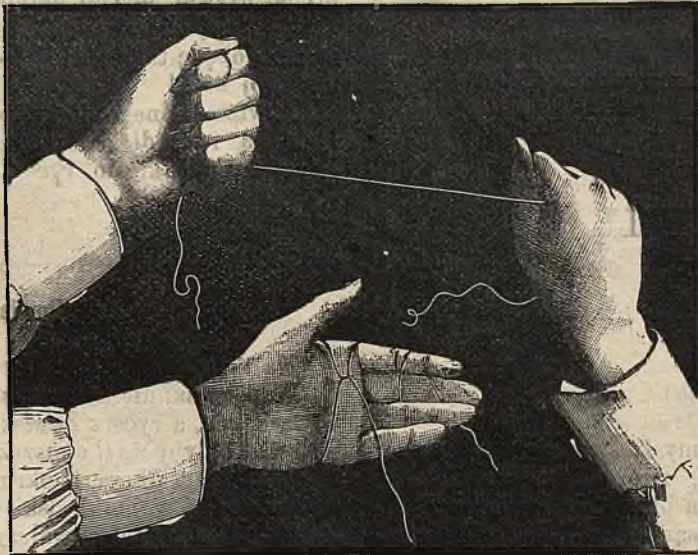
Jedność, zgoda, i braterstwo,
Chrześcijaństwa to jest znak,
Króle, pany i rycerstwo,

Klnę was: Boże, daj wam tak!

— Wielki Boże, daj nam tak! — zawołał król Zygmunt i w zapale, pieśnią rozbudzonym, rzucił się ścisnąć króla Jagiełłę, bo, jak wiadomo, był Zygmunt wrażliwy i pochopny do wzruszeń, a jeszcze bardziej do ich głośnego objawiania; tedy i teraz z takim głośnym szlochom jał ścisnąć Jagiełłę, że głośne to wzruszenie zaraz udzieliło się innym, i wszyscy na gwałt ścisnęli się, i całować, i płakać zaczęli.

Gdy oni się tak ścisnęli, Zawisza Czarny poszedł tymczasem pomiędzy giemków w końcu wielkiej sali, gdzie cicho cofnąwszy się Złoty pacholik, lutnię dźwięczną swoją za wieszak, i uściskał rycerz Zawisza giemka swego, mówiąc:

— Dobrze wyśpiewałeś duszę moję, pacholiku Złoty mój! Oby trwalszą, niż płonne uściski, pamiątkę mieli z twej pieśni goście nasi!... (d. n.)



Jak się rozcina sznurek bez nożyczek.

JAK SIĘ ROZCINA SZNUREK BEZ NOŻYCZEK.

Nieraz widzieć można subje-któw sklepowych, rozrywających w rękę mocne sznurki, a czynią to zręcznie, szybko, bez żadnego wysilenia, pociągając tylko raptownym ruchem prawą ręką sznurek, którego drugi koniec trzymają wlewęj. Darmobyśmy jednak próbowali ich naśladować, okaleczylibyśmy palce, a sznurek przerwałby się nie dał, jest w tém bowiem pewna sztuka, którą zaraz czytelnikom wyjaśnimy.

Spojrzyjcie najpierw na rękę, umieszczoną na rysunku naszym u dołu; jeden koniec sznurka powinien być na niej umieszczony, jak widzicie, w taki sposób, aby się skrzyżował po środku, jakby dwie petelki zaczepiały się o siebie

w kształcie litery Y. Koniec ten owija się następnie kilka razy na palcach, aby się mocno trzymał. Drugi koniec owija się na prawej ręce, lewa z owemi petelkami szczelnie się zamyka, i wówczas należy najprzód zbliżyć do siebie obie ręce, ażeby to wiązanie się rozluźniło, następnie szybkim, raptownym ruchem pociąga się sznurek prawą ręką, a jeśli wszystko to będzie zręcznie wykonane, sznurek rozerwie się w miejscu zetknięcia obu pętelek, jakgdyby był nożyczkami rozcięty.

Jest to poprostu skutek silnego uderzenia o siebie obu tych punktów sznurka, pęknięcie następuje tak szybko, że ruch nadany nie ma czasu przejść dalej, nie daje się więc czuć na drugim końcu sznurka, trzymanym w prawej ręce i nie sprawia najmniejszego bólu, co jest nieuniknione, jeśli się sznurek rozrywa sposobem zwyczajnym, rozciągając go pomiędzy dwiema rękami. Sztuczka ta nie jest wcale trudna, wymaga jednak pewnej wprawy i zręczności, jeżeli się za pierwszym razem nie uda.

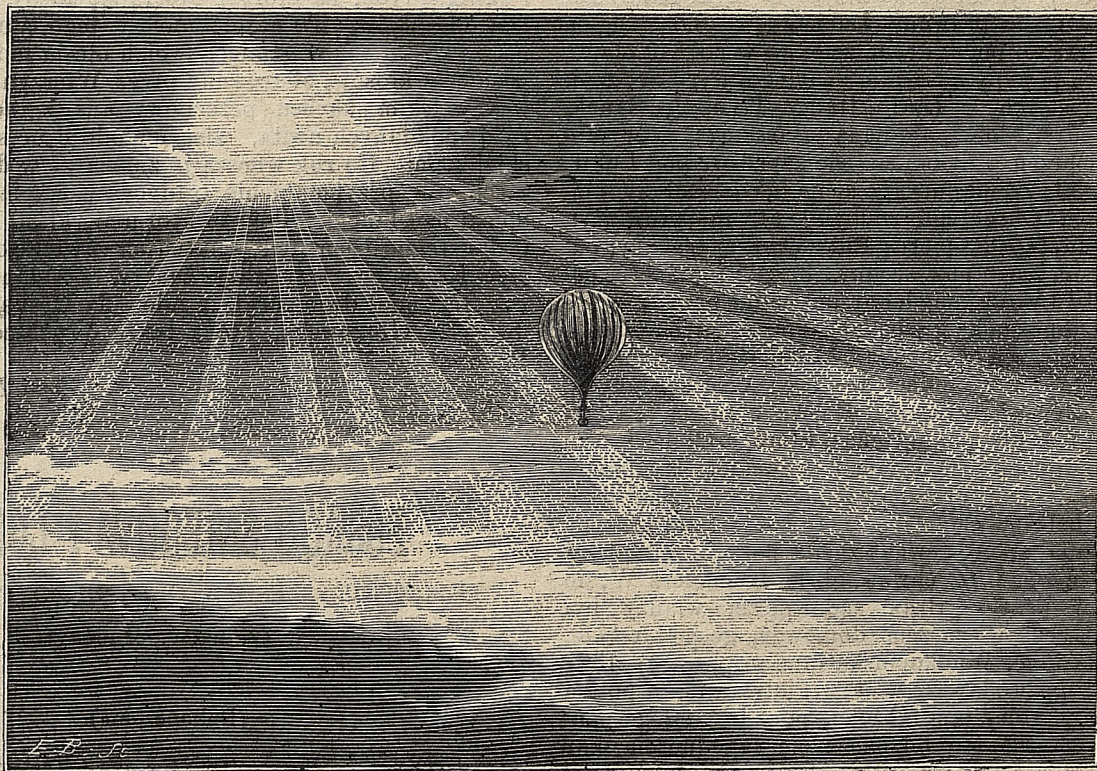
Ostatni z Piastów.

W komnacie Wawelskiego zamku umierał król! Przez okna, z małych szybek złożone, słabe dochodziło światło, wicher listopadowy szumiał żalosnym echem, odbijając się o mury, w których konał wielki i ostatni Piast. Cała natura zdawała się płakać nad osieroconym krajem, огоłocone drzew konary zginały się do ziemi, szumiąc smutnie i poważnie, jak gdyby ojcowie narodu naradzali się pomiędzy sobą, suche opadłe liście, miotane jesienną burzą, szamotały się, nie wiedząc, gdzie im spocząć przyjdzie, niby ten lud biedny, pokornie ciszący się do wałów zamku, i patrzący z boleścią w okna, po za którymi dogorywał ich król, król chłopków.

Wtém zaszumiało złowrogo w powietrzu, może w tej chwili ulatywał orzeł piastowski z nad Wawelskiego zamku, bo jednocześnie głos żalobnego dzwonu poważnym jękiem

kiedy 28 czerwca 1326 r. ze zdziwieniem zobaczyli krakowianie Litwinów, srogich najeźdźców północy w niedźwiedziach kozuchach, w wilczych szłykach, przybywających w przyjaznym usposobieniu, jako orszak pięknej Aldony, córki Giedymina, którą Kazimierz miał pojąć w małżeństwo. Biskup krakowski Nankier katechizował i ochrzcił wesołą i śliczną dziewczeczkę, która była pierwszym zadatkiem przyjaźni, co pierścieniem Jadwigi uświęcona, związała na wieki dwa bratnie narody. Ale Aldona nie tylko młodemu mężowi przynosiła wesele. Z nią razem przybywało z Litwy 24,000 jeńców, różnemi czasy z Polski zabranych, 24,000 rodzin święciło powrót ukochanych, tyle serc błogosławiło młodej parze, tyle rąk silnych i jak mówi Strykowski, zaprawionych w niewoli do obracania żarn i rąbania lasów, wracało do kraju, by go zaludnić po krzyżackich i tatarskich rabunkach.

Jakże więc nie mieli Polacy pokochać królewicza, który w samym zaraniu życia, jeszcze stóp tronu nie dotknawszy, tyle już łez osuszyć umiał! To też choć śmierć Łokietka bo-



Chmury lodowe.

oznajmiał ludowi, że ma się modlić za duszę ojca narodu i lud przypadł, łkając, na kolana. Bolesna nowina w jednej chwili obiegła cały Kraków, w górze powtarzały ją echa dzwonów, wtórujących zamkowym, na dole podawano ją sobie z ust do ust, płacząc i zawodząc, bo w cóż się obróci piastowska spuścizna?

A piękną była tradycja starego rodu, którego ostatni potomek teraz bezpotomnie schodził ze świata, zostawiając żal i klamany na świadectwo ojcowskich swych rządów. Zaczynając od ónego protoplasty, co z kołodzieja na księcia obracając, plóg przy tronie postawił, odznaczali się Piastowie łagodnością rządów, sprawiedliwością i miłością swego ludu, ale wszystkich przewyższył ten ostatni ich potomek, Kazimierz, syn Łokietka, co może przez wdzięczność za daną ojcu prawdziwą Wacławowi pomoc, pokochał swoich poddanych prawdziwie też ojcowską miłością. A już pierwsze jego kroki na drodze do tronu tysiączne błogosławieństwa na kraj sprowadziły.

Weselny to był dzień i wcale do dzisiejszego niepodobny,

leśnie kraj dotknęła, nie rozpaczano wówczas tak, jak dziś, bo było komu podźwignąć rodzicielską spuściznę, czuł naród, że umierający godnego zostawia następcę. Młody ten, 23 letni zaledwie książę, ukoronowany 25 kwietnia 1333 r., w ostatniej woli ojca miał gotowy plan przyszłego postępowania. Umierający Łokietek, oddając syna opiece panów, śmiertelne jego łożo otaczających, zaklinał go, aby kraj porządkował, sprawiedliwość pełnił i o odzyskanie utraconych ziem się starał. Na to jednak, by sprawiedliwość pełnił i porządek zaprowadzić, musiał Kazimierz chociaż na czas jakiś z sąsiedzkimi uspokoić się zatargami. Dla tego zaraz 1335 r. zjechał osobiście do Wyszehradu i tam, wśród hucznych biesiad i przyjęć, przyszło do uroczystego przymierza z Czechami. Kazimierz ustępował im Szląska, a król czeski zrzekał się praw do korony polskiej, którą od czasów Wacława za należną sobie uważał i wpłynął na układ z Krzyżakami, mocą którego Dobrzyń i Kujawy odzyskanymi być miały, ale Pomorze zatrzymywał zakon.

Zdradzieckie jednak i z chytrności znane plemię niemie-

ckie, jak zawsze tak i teraz nie dotrzymało umowy. Napróżno Papiież zbadawszy sprawę, surowo karcil Krzyżaków, grożąc im klątwą, i piękne dając świadectwo słuszności sprawy polskiej. Ciągnęły się długo rokowania, nie doprowadzając do żadnego rezultatu, a tymczasem Kazimierz, rozżalony śmiercią Aldony, która w 1339 zesłała ze świata, w obawie, że kraj, po jego bezpotomnej śmierci, na nowe narażony byłby zaburzenia, znów się w Wyszehradzie zjechał ze szwagrem swoim Karolem Robertem, królem węgierskim, i tam siostrzeńca swego Ludwika, syna Elżbiety Łokietkówny, następcą po sobie naznaczył. Król węgierski zobowiązał się w imieniu syna, że ten Pomorze odzyska, przywileje stare potwierdzi i nowe nada; te pierwsze jakoby *pacta-conventa* zaprzysiężono głównie za sprawą panów małopolskich, bo Karol Robert miał za sobą możną rodzinę Melsztyńskich, a tradycja dziedziczości, zachwiana testamentem Krzywoustego, ustępowała wolnemu wyborowi.

Uspokoiwszy się z tej strony, po raz pierwszy Kazimierz schwylił za broń, by straty, traktatami spowodowane, wynagrodzić słuszną zdobyczą. Księciem na Rusi był wtedy Bolesław Mazowiecki, syn Trojdena i Maryi, córki Andrzeja, księcia Halickiego, a prawnuk Łokietki z linii drugiej. Ten tak sobie zraził poddanych, że ci go w r. 1340 otruli, a Kazimierz, jako prawny następca zmarłego, wyruszył z silnym wojskiem i nie tylko, że Lwów, Halicz, Třebowię, Sanok, Lubaczew i Przemyśl zdobył, ale hana tatarskiego, który korzystając z zawichrzeń z wielką siłą się zapędził, pod Lubliem na głowę poblił. Zapewniwszy sobie tak posiadanie pięknej i szczerbce Chrobrego zdobytej raz już prowincji, zwołał ten dzielny spadkobierca Bolesławowej tradycji panów tamtejszych na zjazd powszechny, urzędu i godności porozdzielał, miastu Lwowu magdeburskie nadał prawa, a donacjami, szlachcie polskiej w ziemiach opustoszałych czynionemi, zaludnił kraj ten żywiołem, który miał wyrwać go z stanu półdzikiego i wprowadzić w szereg ziem koronnych.

Bezpośrednio teraz graniczyła Polska z Litwą, zawarł więc Kazimierz i z nią pokój, mocą którego Olgierd, syn Giedymina, uznawał go panem ziemi lwowskiej, Kazimierz zaś książętom litewskim przyznawał ziemię włodziemską, łucką, brzeską, bełzką, chełmską, i to był ostatni krok na drodze zapewnienia sobie zewnętrznego pokoju, odtąd już zupełna panuje cisza i tę chwilę obrał Kazimierz W. do swej wewnętrznej pracy. Brak sądowniczej władzy był złem najgroźniejszym w naszym domowym gospodarstwie. Małopolska miała inne, Wielkopolska inne prawa. W 1347 odbył więc król prawodawczy wiec w Piotrkowie, a potem w Wiślicy i statut, który tam ułożono, miał być całego państwa statutom. Statut ten odznacza się łagodnością kar i opiekunczą troskliwością o wszystkie stany, ale także i rozumne ograniczeniem nadużyć. I tak, jak sprawiedliwości powodowany uczuciem, dawał Kazimierz opiekę żydom, tak jednocześnie, znając wady tego narodu, ograniczył lichwę, zakazał gry w kostki na kredyt, a uwolnił ojców od płacenia długów, przez małoletnich synów zaciągniętych.

Gospodarstwo Kazimierzowe piękne tymczasem wydawało owoce, kraj zabudowywał się gmachami, jakie do dziś dnia mądrości króla dają świadectwo. Lud bezpieczny pod opieką prawa, z miłością uprawiał ziemię i setne też zbierał plony. Znaczenie Polski rosło, a należało się to krajowi, który tyle lat wojnami i podziałami trapiiony, odzyskiwał znaczenie i powagę u obcych. Jak bogatą była wówczas Polska, o tém świadczy najlepiej wesele wnuczki Kazimierza, Elżbiety, zaślubionej 1362 r. cesarzowi Karolowi. Dwadzieścia dni trwały uroczystości w Krakowie, a gośćmi, prócz dostojnego pana młodego, byli królowie, Waldemar duński, Piotr cypryjski, Ludwik węgierski, książęta mazowiecki, bawarski, opolski, świdnicki i nareszcie ojciec panny młodej ks. szczeciński. Był to zjazd familijny ale i polityczny. Legat papieżki doradzał na nim wyprawę krzyżową. Kazimierz dał wnuczce 100,000 czerw. złp. posagu, a wspianale obdarzeni goście zaproszeni zostali następnie na ucztę do podskarbiego królewskiego Wierzyńka, który Kazimierza, dobrodzieja swego, na pierwszym miejscu posadziwszy, ościennym panom kosztowne ofia-

rował podarunki, swemu zaś królowi pszeniczny wręczył wieniec, nie znajdując nic, coby prócz kłosa, na polskiej ziemi wyrosłego, godnym było ojca narodu, dbałego o chleb dla swych dzieci.

Ale nie tylko o chlebie pamiętał Kazimierz. Jeśli z jednej strony rósł w pokoju dobytek biednego chłopka, to jednocześnie chlubiła się Polska założeniem akademii w Krakowie. Akt jej fundacji 1364 r., pięknym i pełnym namaszczenia wstępem poprzedzony, daje studentom i nauczycielom wolność od cła i opłat, wyznacza rektorowi, doktorom i magistratom utrzymanie na żupach wielickich i wylicza 7 profesorów do prawa, dwóch do fizyki i medycyny, jednego do nauk klasycznych.

To są głównejsze fakta z dziejów Kazimierza. Zakładał wsie w Małopolsce, kolonizował Ruś. Zaprowadził dobrą monetę, podniósł miasta, śpichlerzami zapobiegł głodowi, rozwijał handel i przemysł, a jednocześnie stawiał świątynie Panu, korząc się przed Jego majestatem. Zastał Polskę niby ubogą lepiankę, a zostawił ją murowaną. Budował dla przyszłości, a dawał dobre fundamenta, bo sięgnął do spodu i dźwigał tych, na których opiera się każdy naród: był królem chłopków. To najpiękniejszą jego tytuł, nie chciał innego i został też w pamięci swoich ojcem ludu, a korona jego wieniec z kłosów, ofiarowany przez Wierzyńka. Tamte złote, w wawelskim skarbcu przechowywane zginęły, ta skromna, ręką poddanych uwita, wiecznie odradzać się będzie na polskiej ziemi. Co rok wnoszą ją żniwiarze w drzwi dworów nasyłych, na przypomnienie tradycji Kazimierzowej, tradycji opieki nad ludem. Taki to król umierał 30 listopada 1370 r. i dla tego dzień ten smutną na zawsze zostanie pamiętką. Był Kazimierz trzy razy żonaty, z Aldoną Giedyminową i z tej miał dwie córki, z Adelaidą Heską i nareszcie z Jadvigą ks. Głogowską, która także dwóch córek była matką. Panował lat 37.

Zofia Bukowiecka.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA
w krainach północnych.

(Dokończenie).

— Czego się śmiesz? — pytałem i ja i wszyscy, ale on nie odpowiadał, tylko śmiał się ciągle, nie wydając przytęm po swojemu żadnego głosu. Pojęliśmy więc, że musi być chyba jakaś śmieszność w owym wężu i przestawszy pytań, zaczęliśmy témbardziej przypatrywać się potworowi; widzieliśmy go, jak na dłoni, jego i straszne jego pierścienie, gdy nareszcie pierścienie te wszystkie prócz jednego zaczęły drzeć coraz bardziej, mieszać się niejako z falą i skałą, blednąć i znikać, aż znikły, a jeden tylko ów jedyny pozostał, który był najzwyczajnym wielorybem, machającym ogonem, co stanowiło przed chwilą szereg pletw... na grzbiecie potworu.

— Najzwyczajniejsza w świecie rzecz, rodzaj złudzenia wzroku, fatamorgana, ukazująca się częstokroć na wodach, pustyniach, i polach — powiedział mimochodem kapitan, który zbliżył się na okrzyk Angielki i zawrócił natychmiast, spostrzegłszy o co chodzi.

— No — rzecze ojciec — kiedy tak, to rozumiem teraz wszystko, co najdziwniejszego o dziwniej północy słyzałem... i o tym okręcie strasznym, tajemniczym, wiecznym a potwornym, o którym tyle słyżymy; i o smokach-czarownikach, i o wężach morskich nareszcie.

Wpłynęliśmy w Maaso-sund, okrążając ciągle brzegi takie posępne, skaliste, nagie i poszarpane, jak dotąd, ale nie było już takich potężnych dziwów, jak poprzednio, a raczej całe te brzegi stanowiły jedno ciągle dziwowisko, tak

były poszarpane, potrzaskane, niby jeź ogromny o potarganych kołcach, lub wąż długi, w jeżową skórę odziany. Tak płynęliśmy przez Rolfo-sund, między wyspą Rolfo a półwyspem Maaso. Przepływamy około wysepki niektórych, będących naprawdę jedną tylko skałą, a na tej skałe stoi buda mieszkalna i buda zapasowa, reszta miejsca zajęta jest dorzami w najrozmaitszych stadyach przygotowywania ich do wysyłki w świat; ludzie przewracają i odwracają całe stopy ryby, suszą, sprawiają, i tak dalej i dalej, żyje się w tych okolicach „rybą i dla ryby jedynie”.

Nareszcie wpływamy do pięknego portu, pełnego okrętów i różnych statków, a na wybrzeżu mnóstwo budowli, po większej części zbudowanych na palach, ludzie znów oczy pozoramami dużego miasta. To Hammerfest, istotnie wielkie miasto, bo ma mieszkańców około... półtrzecia tysiąca. Ryby, ryby, i jeszcze raz ryby, panują tutaj, jak wszędzie w okolicy, gdzie mogą stać, w łódce, w porcie, czy w mieście, wszędzie trafisz na rybę. O! milion razy wolę cukier. Domy wszystkie drewniane. Wchodzimy w ulicę szeroką, i dowiedziawszy się, że są tu dwa kościoły, idziemy najprzód do kościoła. Potem włóczymy się po różnych budowlach, gdzie sprawiają się i przyrządzają ryby. Kilkoro ludzi chwytają ryby, odrąbuje głowy i rzuca ryby w jedną stronę, głowy w drugą. Inni ludzie chwytają głowy i przyrządzają je, nawłócząc jak perły na sznurek. Inni chwytają ryby, rozrzynają i wyrwywają z nich ość grzbietową od jednego zamachu, rzucają znów ości w jedną stronę, ryby w drugą. Ości od czasu do czasu zabiera się, aby je poddać dalszym manipulacjom, a ryby chwytają te same chwile inni robotnicy i solą je, i układają odpowiednio. Do dwóch tysięcy ryb przechodzi w ten sposób dziennie przez ręce jednego robotnika.

Ponieważ podobny pośpiech i takąż wprawa w rzemiośle panują wszędzie w tutejszych osadach, tedy przychodzi nam myśl, że ryb zabraknąć mogłoby w oceanie, gdyby lato nie było tak krótkie, a jeszcze istnieją prawa, skracające i określające czas połowu ze względu na wieloryby zwłaszcza. Dalej zwiędzaliśmy fabryki oleju rybiego, wytapianego tak, jak widzieliśmy, i na słońcu, i w ogromnych kotłach. Potem byliśmy w suszarniach, gdzie ryby zawieszane są milionami na ogony, a strachy tysiącami ich pilnują, a mowy, choć się w ogóle boją, ale wyjątkowo stary doświadczony taki rabuśnik porwie czasem nawet i samego stracha kawałek.

My jednakże w dużej tej osadzie mniej niż gdzie indziej mieliśmy zajęcia, bo zamiast wyrabiać guano, inaczej użytkują się tu rybie odpadki. Jest tu bydło, są barany, są kozy, są psy, a wreszcie i ludzi spora gromadka, wszystko to potrzebują jeść, zima zaś trwa dziesięć miesięcy albo cały rok, choć słońce dogrzewa dostatecznie, aby wywołać straszłą zgniliznę i zabijającą woń w tej wielkiej fabryce rybiej, ale niedosyć, aby wywołać z ziemi pożywienie. Więc ludzie żywią się co lepszymi częściami odpadków rybiej, a resztę tłucze się, miele, miesza ze mchem, tą paszą reniferów, jedyną wśród zimy nawet, gotuje się tę masę, dodaje się na okrasę troszkę siana, jeśli jest, i tym żywi się wszystko bydło, a psy i kozy jedzą to samo, tylko obchodzą się wcale bez siana oczywiście. W czasie lata za to, to jest podczas połowu, psy i kozy mają tu niustającą ucztę ze zgnitych odpadków, które nie zdążono przyrządzić na zachowanie na zimę. Patrząc na wszystko i mimowoli myśląc o tym, co tu musi być zimie, rzekłem do ojca, wychodząc z olejarni:

— Kiedy żyją tu ludzie „rybą i dla ryby”, to widać, że można tu żyć, ale okropne jest życie, tak jak nędzne jest to

— Nie może być nędznym miasto, które ma kolumnę Oskara i jest jedynym na świecie! — powiedział tuż za nim głos jakiś powolny i spokojny, chociaż nacechowany dźwiękiem dumy. Zawstydzilem się okropnie, bo trzeba było być bardzo źle wychowanym, aby komuś w oczy ganić jego kraj i rodzinę, a właśnie Norwegczyk, jeden z dozorców czy właścicieli olejarni, szedł za nami, o czém ja nie wiedziałem, a on słowa moje dosłyszał. Zwróciłem się przędkiem do niego, ale nie wyglądał wcale na gniewnego lub obrażonego, owszem, duży i tegi, jak tu wszyscy Norwegcy, miał

wyraz dobrodusznego niedbalstwa na twarzy. Ponieważ rozmawialiśmy z nim już wprzódy, więc przeprosiwszy go za mimowolną moją niegrzeczność, zapytałem, co to za „kolumna” i jakim sposobem Hammerfest ma być jedynym miastem na świecie

— Niema na całym świecie drugiego miasta równie daleko umieszczonego na północy, jak Hammerfest! — odpowiedział z dumą — Hammerfest jest z tego względu jedynym miastem na świecie!

Spojrzałem na ojca i o mało nie rozśmialiśmy się oba głono. Moj Boże, jak też to człowiek, przywiązany do czegoś, potrafi w tém zawsze coś dobrego upatrzeć, nawet, gdy nic dobrego niema.

— Co do naszój kolumny króla Oskara, do tej mogą pańów, jako cudzoziemców, zaprowadzić — dodał Norwegczyk, chcąc widać pochwilić się nadzwyczajnościami swego miasta.

Podziękowaliśmy grzecznie i poszliśmy chętnie. Nie trzeba było iść daleko, bo kolumna ta stoi nad portem. Jest ona z granitu i bronzu, ma herb Norwegii i kulę ziemską bronzową na szczycie. Żelazne niskie okratowanie, dość ozdobne, otacza kolumnę, wzniesioną na niedużym wzgórk. Król Oskar rozkazał podobno wymierzyć odległość między ujściem Dunaju a Hammerfestem, a pomnik ten jest pamiątką owęj roboty. Norwegczyk opowiadał to z takim poszanowaniem, że żał mi było coraz bardziej mojej poprzedniej mimowolnej niegrzeczności, żeby się więc niesprawiedliwić, rzekłem:

— Dla mnie najprzykrejszą rzeczą jest brak zieleności, roślinności, gdyż wychowany byłem w leśnej okolicy, i dla tego tęskno mi do lasów i gdzie ich niema, tam zdaje mi się źle i brzydko, chociażby zresztą była to najpiękniejsza miejscowość.

— Jeżeli tak, to Hammerfest powinien podobać się panu lepiej, niż wiele innych miast — odpowiedział Norwegczyk. Spojrzałem mu w oczy, sądząc, że żartuje, ale on mówił poważnie.

— Ależ tu nic nie widać, prócz śniegu lub błota — rzekł ojciec.

— Bo nie byliście panowie w lesie — odparł Norwegczyk, i poprowadził nas do lasu. Przeszliśmy całe pola, pokryte śniegiem lub błotem, poza miastem, i ujrzelśmy sporą górę, zwaną Tywen, na którą dobry nasz a niepłatny przewodnik chciał nas także zaprowadzić, obiecując widok przepyszny. Mogło to być w istocie, jak sam ojciec przyznał, ale nie byliśmy turystami prawdziwymi, zabrakło nam przeto ochoty do wdzierania się na stromą potężną skałę, pokrytą śniegiem, lodem i śliskimi mchami.

— A więc nie będziesz pan widział roślinności, którą góra nasza jest obrosła, i musicie poprzestać na tym oto lesie — powiedział Norwegczyk. Spojrzeliśmy na niego, na górę, i naokoło siebie.

— Albo gdzież jest las? — spytał ojciec.

— Jaki? a cóż to jest? — odrzekł nasz przewodnik, spoglądając wzajem na nas tak, jakby podejrywał, że jeżeli nie rozumu, to przynajmniej zmysłu wzroku nam braknie. Przytém wskazywał palcem, nie przed siebie, ale wprost pod stopy swoje i nasze... Spojrzeliśmy więc mimowoli za kierunkiem jego palca i... o cudo! ujrzelśmy las... tak duży i rozległy, że staliśmy o krok od niego, nie widząc go. Były to nieliczne sosenki stare i pokrzywione, a tak karłowate, że gdyby tylko estetyczniejsze miały kształty, możnaby je w doniczkach w oknie umieścić; mchy prześlicznych żywych barw i ów rodzaj jałowcu, któryśmy już widzieli, przystarzały ten las, jedną z dość licznych jak widać ozdób Hammerfestu. Był to las kieszonkowy. Wróciwszy do gospody, bo i gospoda jest w Hammerfście, zasiedliśmy do jedzenia z nieudaną ochotą.

— Baranina doskonała, bo lato było wczesne i barany są już dawno na trawie — zachwalała nam gospodyni potrawę, wyglądającą bardzo poętnie. Jednakże skosztowawszy, trzeba było wyrzec się jej dla obrzydliwego smaku rybiego. Sto razy lepsza była już ryba sama, niż ta baranina rybą przesiąknięta. Gospodyni zdziwiła się szczerze naszemu wstrętowi, oświadczając, że w istocie ani ona sama, ani nikt z jej współziomków nie jadłby baraniny w zimie ani na po-

czątku lata, i wcale jej się nie jada, gdy lato jest późne, gdyż barany na zimowej rybnej paszy nabierają prawdziwie nieznośnego smaku, ale teraz, gdy już oddawna jedzą trawę, mięso ich jest *doskonałe*, ale to tak doskonałe, jak bardzo rzadko w Hammerfescie bywa.

— O nieszczęśliwi! — szepnął ojciec — i ludzie, i barany. Nazajutrz wsiedliśmy napowrót na nasz wstrętny statek „Seaman”, (Żeglarz, morski człowiek) i popłynęli prosto na południe, z zamiarem jaknajspieszniejszego powrotu do domu. Zwiedziliśmy już wszystkie miejscowości, wyznaczone ku temu przez ojca i pana Stern-biorna, to, co pozostawało po drodze, nie przedstawiało nic ważnego dla naszych celów, a czas naglił.

W dziesięć godzin później byliśmy na wprost miasta Tromso, ale minęliśmy je, nie wstępując, choć „Seaman” zatrzymać się musiał na czas krótki. „Seaman” jest jednym ze statków, które trzy razy w tydzień wypływają z Trondhiemu w strony oceanu Lodowatego, okrążając brzegi Norwegii, i teraz powraca do Trondhiemu, my zostaniemy po drodze. Nazajutrz stanęliśmy w Bodoe, gdzie z trudnością dostawszy przewodników i koni, dotarliśmy przez góry i las spalony do Guikjok'u, małej osady na brzegu długiego szeregu jezior, łączących się z sobą.

Tak skończyły się trudy nasze. Dostaliśmy z łatwością mocną i dużą łódź rybacką i dopłynęliśmy nią spokojnie i dość wygodnie aż do Jakmok, drugiej siedziby ludzkiej, na drugim końcu owych jezior. Byłem bardzo zmęczony, nie tylko samemi trudami podróży, ale, jak powiedział sam ojciec, i zbyt niemiłym natężaniem uwagi z początku podróży przy zbieraniu najważniejszych notat, aby ojcu dopomóc. Dla tego od Hammerfestu ojciec zakazał mi już robić notat, a i ja sam nie miałem do tego ochoty. Musiałem być prawdziwie znudzony. Zresztą nie jestem przecież turystą, nie jestem też dość wysoko wykształcony, abym z pożytkiem mógł pisać o rzeczach, na których wcale się nie znam.

W czasie kilkodniowej podróży przez jeziora, odpocząłem niezłe, tak, że mały kawałek drogi, od Jokmok do rzeki Lulei, przeszliśmy pieszo, nie chcąc czekać na konie, których nie było, choć zapewniano, że miały być, a ostrzegano nas, aby stanąć na miejscu na czas, w którym statek parowy tam przepływa. Baliśmy się minąć statku, a jego widok wynagrodził nam sownie ostatnie zmęczenie. Na stateczku tym dopłynęliśmy Luleą do miasta Lulei, dobrze mi znajomego. Krewni matki mieli ochotę nas tam zatrzymać, ale nie chcieliśmy ani słuchać o tem, bo śpieszyliśmy do domu, wiedząc z jaką trwogą matka nas wygląda. Wsiedliśmy zatem do pierwszego lepszego statku, pływającego po zatoce Botnickiej z Lulei do Pitei; statki takie kursują tam jak najemne powozy po ulicach miasta, i w godzinę ujrzeliśmy Piteę, matkę, siostrzyczki, i Jana nawet, który po egzaminach pośpieszył do domu, zdawszy je świetnie.

Zabawiwszy w domu, dopóki nie odpocząłem doskonale, i nacieszywszy się z rodziną, pośpieszyłem do Stockholmu, do mego obowiązku i do dobrego pryncypała. Ale odjeżdżając z domu, otrzymałem od siostrzyczek stanowczy rozkaz, abym podróżne notatki moje, dla ojca stano, ułożył tak, iżby młode panienki mogły je czytać i rozumieć. Siostry były ciekawe wielkiej braciuszka podróży, w czasie której i one biedaczki okrutnie się o podróżników kłopotaly razem z matką. Ze zaś u nas jest zwyczaj, iż chłopcy panienek słuchają, ponieważ panienki wydają rozkazy rozsądne i w formie

serdecznej prośby, przeto póty niedosypiałem nocy w Stockholmie, aż wypełniłem wolę siostrzyczek, układając niniejszą książeczkę. Książkę tę radzi mi mój pryncypał wydrukować, aby i inna młodzież czytać ją mogła. Otóż jeżeli ją wydrukuję, a podoba się czytelnikom, to opiszę może i drugą podróż swoją, bo przecież, jako kupiec, muszę podróżować. Zobaczę tedy.

ZAGADKA.

Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla Trawki z nad Granicy.

Jest nas cztery: jedna tchnąca
Czynem życia, druga płodna
W burze, skwary i gorąca,
Trzecia wdzięczna, czwarta chłodna,
Pierwsza — to zapał młodzieńczy,
Druga — to praca, wytrwałość,
Trzecia — to plon, co trud wieńczy,
Czwarta — niemiła zgrzybiałość.
W pierwszej ludźmi nas marzenia,
W drugiej czyn pochód otwiera,
Trzecia gromadzi wspomnienia,
A w czwartej wszystko zamiera,
W białej całunu śnieżycy ...
Zgadnij, Trawko z nad Granicy!

Czarodziejska sztuczka.

(Od Różyczki polnej dla Słomki).

Odjąć rzecz bardzo nieprzyjemną, a zostanie coś ogromnego i przyjemna pora roku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Szarady:

Kos — tka.

ŁamigłóWKI zgłoszkowEj:

Lak — Echo — Noc — Allah — Ryba — Tonkin — Oko — Władysław — Indus — Czosnek — Zambezi.
Lenartowicz — Kochanowski.

TRĘŚĆ: Chmury lodowe (z drzew.) — Piosnka sieroty, wiersz p. Sewerynę Duchinińską. — Złote pacholę, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Jak się rozcina sznurek bez nożyczek (z drzew.) — Ostatni z Piastów p. Zofią Bukowiecką. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych. — ŁamigłóWKi, rozwiązania. W Dodatku: Wdzięczne zwierzę (z drzew.) — Ziółeczka, wierszyk p. Helenę Bojarską. — Przygody Stasia, p. C. E. E. kowska. — ŁamigłóWka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

WDZIĘCZNE ZWIERZĘ.

— Prędkiej! prędkiej, Karolu! może jeszcze nie odpłynął — wołała pani M. na 14-to letniego chłopaka, biegnąc z nim w stronę rzeki, ale zanim dobiegł zdołali, ujrzeli z przerażeniem próżną łódkę, kołyszącą się na falach wody, a dziecka, którego szukali, nigdzie widać nie było.

— Gdzie Jaś! gdzie on być może! chłopak od stajni mówił wyraźnie, że wybierał się przepłynąć na drugą stronę, i iść piechotą do babci; zresztą, kto łódkę mógł odzłodzić? — zapytywał sam siebie Karol, a biedna matka z coraz większym niepokojem patrzyła, czy nie zobaczy gdzie nieposłusznego i śmiałego chłopca, co jej zawsze tyle strachu napędzić potrafił. Ale młode oczy lepiej nawet od matczyńskich patrzeć umieją, bo w chwili, gdy



pani M. miała już odejść, żeby w innej stronie szukać Jasia, Karol z największym przerażeniem ujrzął przy przeciwnym brzegu coś czarnego i dużego, dopływającego do mielizny, i wtém *czemś* poznał psa, który przed kilku dniami dopiero przybłąkał się do ich domu.

Jaś niezmiernie lubił wszystkie zwierzęta, i on to przyprowadził biedne, zbite stworzenie, obroniwszy je wprzód od kamieni ulicznych, a wdzięczny Rask, bo tak go chłopcy nazwali, nie odstępował Jasia na chwilę. Karolowi tchu brakło w piersiach, Rask nie płynął sam, ciężko, z największym wysileniem wlokł coś do brzegu. Co to było? czyby to był Jaś? Jaś żyjący, a może może... Ale tego straszego słowa Karol wymówić nie mógł. W jednej chwili odesłał matkę do domu, żeby tam Jasia szukała, a sam w bród dobiegł do łódki, przepłynął na drugą stronę, i nim wierne psisko dowlokło chłopca na piasek, on już tam dopłynął, wyskoczył i trzeźwił brzo-
na, który na szczęście odurzony tylko wypadnięciem z łódki, prędko do siebie przychodził.

Rask tymczasem leżał na piasku i patrzył na swego pana takim wzrokiem, jakby mu mówił. „I ty mnie ura-

towałeś”, a chłopcy rozrzewnieni poczuli rękę Tego, który opiekuje się stworzeniem wszelkiem, więc i miłosierdzie zwierzęciu okazane wynagrodzić potrafi.

Zofia Bukowiecka.

ZIÓŁECZKA.

— No! wypij Heluniu! maleńka szklaneczka, To nie są, kochanie, zbyt przykre ziółeczka, Cokolwiek gorzkawe, ale też dam za to Wybornych konfitur łyżeczkę czubatą.

— Nie, mam, nie mogę, o! nie męcz mnie proszę! Ja nie chcę lekarstwa, ja ziółek nie znoszę.

— Posłuchaj, Heluniu! dam później ciasteczko,

— Nie będę pić ziółek, ach! za nic, mameczko! Tak przeszedł dzień cały; dziewczynka wciąż chora, Nazajutrz raniutko wezwano doktora,

Ten plaster przyłożył, co sprawiał ból wielki, Dał lekarstw nie mało, a opór już wszelki Pozostał bez skutku; użyto przemocy, Dawano lekarstwa i we dnie i w nocy.

Dziewczynka dość długo w łódeczku leżała, Jakże się żaliła biedaczka ta mała:

— Ach! kiedyż ja wstanę, ach! kiedyż, mój Boże! Tak nudno mi leżeć... tak pięknie na dworze...

— Oj! pewnie, kochanko, żałujesz dziś sama, Żeś ziółek nie chciała? — spytała raz mama.

— Ziółeczka by pewnie pomogły w chorobie, Niebyłabyś w łóżku.

— Już tego nie zrobię!

Już nigdy nie będę upierać się o to, Co szkodzić mi może, o! zawsze z ochotą Posłucham twój rady.

— Ach! szkoda, kochanie, Że rada zyskała tak późno uznanie, Cierpiałaś dość długo; pamiętaj, me dziecię, Że aby uniknąć przykrości na świecie, Potrzeba złe stłumić, jak tylko się wszczyna, Jak tylko, Heluniu, kiełkować poczyna; W chorobie pomoże niewinne ziółeczko, W pozbyciu się wady przestrogi słóweczko, I jedno i drugie gorzkawe być może, Lecz wierz mi, że pewnie skutecznie pomoże. Kto zatem te środki odsuwać się kusi, Ten później zbyt przykre lekarstwa brać musi.

Helena Bojarska.

Odpowiedzi na zadanie konkursowe.

Podobieństwa i różnice pomiędzy kawałkiem drzewa, cegły i kamienia.

Odpowiedź 9-letniej Sobótki, 1-szą nagrodą odznaczoną.

Kamyk i cegła należą do świata mineralnego, ale z tą różnicą, że kamyk jest ciałem przyrodzonym, bo jest ta-

kim, jak go Bóg stworzył, a cegła jest ciałem sztucznym, bo się wyrabia z minerału, nazwanego gliną. Wydobywa się ją z ziemi, rozrabia wodą, nadaje jej się kształt czworokątny foremkami, potem suszy się na powietrzu i wypala w piecach na czerwono. Kawałek drzewa jest podobny z tego do kamyka i cegły, że jest twardy i mątwy, ale różni się od nich tem, że jest częścią rosnącego drzewa, a więc należy do świata roślinnego.

Odpowiedź 9-letniej Wierzby z nad Wisły, 2ą nagrodą odznaczona.

Cegła różni się tem od kawałka drzewa i kamyka, że ją człowiek zrobił z gliny, a drzewo i kamyk Pan Bóg stworzył. Cegła i kamyk nie dają się ciąć, jak drzewo, ale za to można je utłuc na proszek. Kamyk należy do królestwa minerałów, drzewo do królestwa roślin, cegła jest sztucznie zrobiona z gliny. Podobieństwo jest takie: cegła, drzewo i kamień służą do budowy domów.

Odpowiedź 7-letniej Biedronki, 3ą nagrodą odznaczona.

Cegła, kamyk i drzewo używają się do budowy domów. Kamyk należy do minerałów, drzewo do roślin, a cegła robi się z ziemi, zwaną gliną. Cegła, kamyk i drzewo są twarde, ale cegła, mimo twardości, jest krucha. Drzewo się pali, a kamyk i cegła nie. Drzewo wrzucone w wodę pływa, a kamyk i cegła się zatopia.

Oprócz tego dobre bardzo odpowiedzi nadeszły: 9-letnia Siekierka. — 9-letnia Bocianiczka z nad Sanny. — 6-letnia Grubula. — Niesłusznie jednak powiadają Siekierka i Bocianiczka, że ani woda, ani ogień przez czas najdłuższy nie mogą zniszczyć kamienia, gdyż pomimo trwałości, nawet i skały kruszą się i niszczą. Odpowiedź 8-letniej Kukułki z nad Sanny byłaby także bardzo dobra, bo starannie jest i porządnie napisana, lecz z kądze to przyszło do głowy Kukułce, że kamień, według zdania uczonych, żyje i rośnie? Żaden uczony tego nigdy nie powiedział. Zapewne Kukułka usłyszała jakąś wzmiankę o przypuszczeniach ludzi uczonych i dobrze tego nie zrozumiała. Sobótce, Wierzbie z nad Wisły i Biedronce warszawskiej ofiarujemy w nagrodę ozdobne notesiki z napisem.

PRZYGODY STASIA

Z PAMIĘTNIKA SPISAŁA

C. Falkowska.

(Dalszy ciąg).

— Co tu robisz, drogie dziecię! wszak to nasz panicz, bez czapki, psy go ledwie nie rozszarpały, co tu robisz sam jeden w nocy?

Powiedziałem, że uciekam od stryja, bo mi srogą karą zagrożono... Kobieta zaczęła lamentować, Wojciechowa służyła u nas długo, więc nie wiedziała, jak mnie ugościć.

— A gdzie udasz się, paniczu?

— Pójdę do Warszawy, do ciotki.

— Ale wypocznij dobrze, posil się, a jak mój mąż wróci z drogi, to cię jutro odwiezie.

Wojciechowa przyniosła siana, usłała na ławce, usmażyła jajecznicę, zjadłem z apetytem i prędko usnąłem. Obudziłem się, gdy wrócił Wojciech, kobieta opowiedziała mu o mojem nieszczęściu, aż mi wstyd było, bo oskarżyłem stryja, o własnych winach nie wspominając.

Już był dobry dzień, gdy się zerwałem z postania, śniadanie już było gotowe, ubranie moje naprawione, a na stole leżało zawiniątko z żywnością dla mnie na drogę. Na zawiniątku leżała czapka ogromna gospodarka, przygotowana dla mnie, żebym głowy nie przepalił. Konie stały zaprzężone, zjadłem śniadanie, podziękowałem Wojciechowej za wszystko, i ruszyliśmy w drogę. Jak tylko minęliśmy wieś, wyznałem Wojciechowi prawdę, jaki był powód ucieczki, prosiłem, żeby mnie ukrył, gdyby gonili za nami. Fura była słomą wystłana, mogłem się ukryć. A była sama pora, bo niedługo zobaczyliśmy dwóch parobków, jadących konno, gdy dojechali do fury, byłem już dobrze ukryty.

— A czy nie widziałeś, Wojciechu, panicza — zapytał parobek — wczoraj bawiąc się nabił guza bratu i gdzieś się ukrył. Pan nasz cały dom poruszył, rozesał ludzi na wszystkie strony. Oj strasznie pan tam na niego zagniewany. A co tu w słomie wiesz, Wojciechu?

— Ciele rzeźnikowi odwożę.

Ja słuchając tego drżałem cały ze strachu, myśląc, że może ubranie wygląda ze słomy.

— No, jedźcie z Bogiem, Wojciechu, ale pamiętajcie, żeby zbiega odwieźć, jak go spotkacie.

— Dobrze, dobrze, przywiozę wam, jak tylko spotkam.

Parobcy zawrócili się do domu. Wojciech zaczął popędzać konie, przyznał mi się, że musi w nocy być w domu, bo jutro ma nakazane przez wójta konie, przyrzekł mi odwieźć do Pragi.

— Mój Wojciechu, ja trafię z Pragi i tak wielkie zrobię dla mnie dobrodziejstwo, dziesięć mil drogi, nigdy bym nie doszedł pieszo bez grosza i kawałka chleba, chyba żebrać musiałbym po drodze.

Już zmierzchało, gdyśmy dojeżdżali do Pragi, popasy dużo nam czasu zabrały, bo konie były bardzo zmęczone. Wojciech zatrzymał się przed miastem, wysiadłem z wozu, podziękowałem mu i przez most ruszyłem ku Krakowskiemu przedmieściu. Pierwszy raz w życiu byłem sam wieczorem, wśród tłumu nieznanomych ludzi, gdy zbliżyłem się do latarni, usłyszałem śmiech przechodniów z mojej czapki.

Modliłem się, dziękując Bogu, że mnie szczęśliwie doprowadził do Warszawy i polecałem się opiece jego nadal.

Wszedłem na Krakowskie przedmieście, idąc chodnikami zaczepiałem przechodniów, pytając, gdzie jest Nowogrodzka ulica, każdy mówił: „idź prosto” i każdy naśmiewał się z mojej czapki. Doszedłem do końca Nowego Świata, dopiero mi wskazano Nowogrodzką ulicę, skoro wszedłem tam, sądziłem, że już niezadługo wypocznę u kochanej ciotki, zapytałem stróża domu na początku ulicy, gdzie mieszka pani Salicka.

— Pod jakim numerem mieszka ta pani? powiedz chłopcze?

— Ja nie wiem numeru.

— To szukaj szpilki w furze siana, jeżeli nie wiesz numeru — i odszedł. Teraz poznałem, że trudno mi będzie znaleźć ciotkę w nocy, ale gdzież noc przepędzę? Usiadłem przed niskim domem, uczułem mimo zmęczenia głód i zacząłem zajądać zapasy, dane przez pocziwą Wojciechową. Już było późno, sen zaczął powieki moje przymykać, oparłem głowę o kamień. Wtém z bramy wyszedł człowiek z konewką, poszedł po wodę, a wracając zatrzymał się koło mnie.

— Co tu robisz, chłopcze? czy czatujesz na kogo, żeby go okraść? dosyć jest takich nicponiów w mieście. Na te słowa, odpowiedziałem z głośnym płaczem.

— Ja szukam ciotki, z daleka tu przyjechałem, i w nocy znaleźć jej nie mogę.

— Nie płacz, chłopcze, może ty jesteś sierotą, chodź do mnie, rozmówimy się, tylko nie płacz!

Weszliśmy do dużej izby, trzech chłopców siedziało jeszcze przy warsztacie i wykończyło buty.

— Przyprawiam was pomocnika do pracy.

Wszyscy obejrżeli się na mnie, a szczególnie na moją czapkę i śmiać się zaczęli. Zabawna to była czapka z dużej głowy włóścianina, a dziwnie wyglądała przy mojem ubraniu porządnem. Opowiedziałem w przytomności całej czeladzi i majstra o wszystkich moich nieszczęściach i guzie nabitym bratu, co mnie skłoniło do ucieczki. Znalazłem współczucie w otaczających, majster mnie uściskał.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla Stokrotki z nad Stochodu.

Wy dziewczęta, wy chłopaki,
Powiedźcie w sposobie gładkim,
Bez mozołu wyraz taki,
Co jest i liczbą i kwiatkiem?
I choć on tutaj zmieniony,
A lepiej mówiąc skrócony,
Zgadnie go bez zachodu
Stokrotka z nad Stochodu.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 46-go.

Z a g a d k i:

Perełka.

Skrzynka do listów.

Brzózka płacząca wcale nie jest w redakcyi naszej zapomniana, szkoda, że po długim milczeniu taki króciutki liścik napisała, prosimy o drugi dłuższy. Zuzulka i jej siostrzyczki dawno się nie odzywały.

Czytelniczkę z nad Bzury przepraszamy za opóźnienie odpowiedzi; bardzo radzi jesteśmy nowej korespondentce, piszącej taką ładną kaligrafią. Początek powiastki wysłany, chociaż Pismo nie u nas jest prenumerowane, a w takim razie należy zawsze udawać się tam, gdzie jest opłacona prenumerata.

Tajemniczemu Lucyperowi donosi Kazio, że panienki, mieszkające w Warszawie, mogą same zgłaszać się do redakcyi po swoje nagrody, jeśli ich nie odebrały.

Złotój Wierzbie dziękujemy za przesłany okaz roślinki, która jednak nie jest wcale ostnicą pierzastą i nie należy do rodziny traw, lecz do rodziny ciborowatych, nazywa się wełnianką, *Eriophorum* i jest blisko spokrewnioną z papirusem egipskim. Autor artykułiku, zamieszczonego w naszym Piśmie, znalazłby ją był z łatwością, na wilgotnych łąkach, nie potrzebując się wspinać na urwiska Ojcowa. Dar dla ubogich dzieci odebrany.

Reginkę upewniamy, że najdrobniejsze dary dla biednych dzieci są przyjmowane z wdzięcznością w naszej redakcyi, na większe nie każdy zdobyć się może, a z ziarenek małych składa się miarka.

Oli nie mamy za złe, że rzadko pisuje, skoro przyczyną tego jest brak czasu; musi to być osóbką bardzo zajęta.

Kot szary może upewnić przyjaciółkę swoją Koteczkę białą, że liścik jej nie doszedł rąk naszych, z pewnością też dlatego jedynie odpowiedzi nie otrzymała. Chociaż do redakcyi naszej tyle miłych ptasząt zagłada, i koty jednak uprzejmie są przyjmowane, w nadziei, że ze skrzydlatą rzeszą przyjaźń utrzymają. Botanika Rostafińskiego jest najlepszym podręcznikiem polskim, jaki posiadamy, możemy ją polecić uczącej się młodzieży.

Muszelka z nad Teterowa lubi bajeczki, czemu się nie dziwimy i będziemy się starali dawać ich więcej nadal. Za parę lat jednak Muszelka pewnie będzie zadowolona, że Nr. dla starszych obszerniejszy jest od dodatku. Dziękujemy za wiadomość, że Królowa perłowego pałacu tak się Muszelce podobała. Łamigłówni trafnie odgadnięte.

Kamelia różowa ucieszyła nas bardzo wiadomością, że już wszystkie siostrzyczki zdrowe są jak rybki, po przebyciu tak przykrój choroby. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi bardzo prędko.

Dębinę witamy serdecznie w gronie korespondentek, czemuż to Dębinka wcześniej się do nas nie odezwała, i dlaczego Polanka tak uporeczywie milczy? Łamigłówni trafnie odgadnięta.

Choince i Wisłce przesyła pozdrowienie Dębinka.

Malina niesłusznie wyrażenie nasze w ostatniej odpowiedzi uważa za jakieś ubliżające dla siebie podejrzenie. Ponieważ tylko w zadaniach konkursowych wymagamy, aby wypracowania były pisane zupełnie samodzielnie, bez pomocy osób starszych, więc w każdym innym razie nie moglibyśmy tego mieć za złe, a samo zapytanie dowodzi, że o szczerości Maliny nie wątpimy.

Ptaszynie z łatwością wyjaśnić możemy, dlaczego konkursu nasze przeważnie dla młodzieży do lat 15 tylko są przeznaczone. Oto starszych czytelniczek mamy bardzo niewiele, kilka zaledwie, a w razie dopuszczenia wszystkich, bez oznaczenia wieku, do konkursów, rzecz prosta, iż dorosłe panienki zabierałyby nagrody ze krzywdą młodszych, dla których przecież Pismo nasze jest wydawane.

Geografia otrzymała już zapewne żądane Nra, na drugi raz jednak prosimy, aby się wcześniej upominała, bo po upływie dłuższego czasu mogą być wyczerpane. Łamigłównę zamieścimy troszkę później. Prosimy bardzo, ażeby kochana Geografia, po dwóch latach zebrawszy się na pierwszy liścik, częściej teraz pisywała.

Złotą Nagietkę upewniamy przedewszystkiem, że nigdy o nic na kochane korespondentki nasze się nie gniewamy, nie wymagamy też od nich doskonałości, ani w liścikach, ani w wypracowaniach. Jedyna rzecz, która jest dla nas bardzo przykrą, to gdy te wypracowania są przepisywane z książek, lub przez kogoś starszego dyktowane, co z łatwością poznać można. Jeżeli zaś znajdziemy w liścikach rażące jakie omyłki, to bez żadnego gniewu zwracamy na to uwagę kochanych korespondentek, o co znów one gniewać się nie powinny.

Poziomka dojrzała zawczasem troszkę o dojrzałości marzy, skoro w 9-tym roku życia chce już tłómaczyć powieści do naszego dodatku książkowego. Co innego, Poziomeczko, odrabiać tłómaczenia na lekcye, a co innego tłómaczyć powieści do dodatku, to rzecz nie tak łatwa, jak się zdaje. Nazwa łamigłówni ujęć może, ale jak ma być podany ten wyraz, aby zagadkę stanowił?

Pszczółka litewska zabrzęczała przecież znowu koło okien naszej redakcyi, a już sądziliśmy, że kochana ta Pszczółka za przykładem swych siostrzyczek usnęła na całą zimę. Wujaszek, jako mężczyzna, oczywiście na robótkach znać się nie może, co i teraz się okazało.

Firletce białej przesyłają pozdrowienia Zosia P. i Gabrys S. proszą, ażeby do nich napisała. Łamigłówna Zosi jest źle ułożona, bo litera J nie może zastąpić litery I.

Modrookiej zawczasu dziękujemy za obiecane dla ubogich dzieci robótki, ale na gwiazdkę nie wymagamy, aby były własnej roboty, ten warunek tylko na konkurs jest konieczny. Żądane Nra wysłane, prenumerata zapisana, 50 kop. na rok następny zaliczono.

Jaguarowi z nad Wisły tyle tylko możemy powiedzieć, że w Piśmie naszym zawsze się drukuje *mnóstwo* przez s, a *zład* przez z. Lecz gramatycy nawet różnią się w zdaniach pod tym względem, gdyż pisownia polska nie jest ustalona.

Lew może nabyć w każdej księgarni powieści „Reginka i Prawdziwe Bogactwo” które wyszły w osobnej odbitce z ładnymi rycinami. Jeżeli Lew odbiera „Wieczory” przez pocztę miejską, to zapewne dlatego, że daleko od redakcyi mieszka; to już należy do ekspedycy i nic o tym nie wiemy.

„Droga Perełko z pod Wawelu! Ja również chciałabym się poznać z tobą; niestety! na moje słabe skrzydełka zadaleką jest ta podróż ze wschodu na zachód, gdyż mieszkam aż w Lubelskiem a ty w Krakowie. Pytałaś się mnie, jak się nazywam; noszę imię ukochanej żony Sobieskiego, mam lat 8, nie brakuje mi też rodzeństwa, ale nie chowam się z niemi, tylko z moją kuzyneczką u kochanej mojej ciotki. Jednak widzę, że się bardzo różnimy z tobą, bo ty leżysz w głębi morza, a ja siedzę wysoko na gałązce, ja ludziskom napędzam pieniądze, a ty wyciągasz je z kieszeni. Kukułka z nad Sanny.

„Droga Wisienko! Bardzo mi się podobały twoje liściki pełne dowcipków. Donoszę ci więc, iż miałabym wielką ochotę oskubać tę smaczną wisienkę, bo u nas, niestety! już niema tego doskonałego owocu, ale mimo, że mam wysokie nogi, trudno mi dosięgnąć ciebie. Ale... ale zagalopowałam się, a nie doniosłam ci, że mam lat 9 i nazywam się Lucynka, jeżeli więc nie jesteś dużo starsza, zwróć uwagę na młodą Bocianiczkę z nad Sanny.”

„Kochana Topolko z nad Wisły! Bardzo mi ucieszyłaś swoją odezwą. Widzę, że nie tylko pseudonimy ale i życzenia mamy jednakowe bo ja także chciałam się z tobą poznać, w czym mi uprzędziłaś. Jestem twoją rówieśniczką, uczę się w domu, w wolnych chwilach zajmuję się ręczną robótką, bawię się z młodszym rodzeństwem lub piszę liściki do starszych braciśzków, którzy są w szkołach. Czy mieszkasz na wsi, czy w mieście? Kochająca cię Topolka z nad Kodemy.”

Kochana Błada Różyczko! Znam cię doskonale i wiem, kim jesteś, chciałabym z tobą korespondować za pośrednictwem „Wieczorów”. Zawsze ci życzliwa Topolka srebrna. (Trafnie odgadła Topolka imię i nazwisko Bładziej Różyczki przyp. red.)

Kochani Figielku i Bero słucka! Nie odgadliście mnie, choć naprawdę troszkę to trudno było. Zapytajcie więc Latawca o dziewczynkę, którą dwa lata temu poznał na balu w Ussowie. Może wtedy prędkiej odgadniecie nazwisko życzliwej Sarenki z nad Moroczku.

Kochana Lilijko wodna! Doskonale zawsze pamiętam małą Jadwinę, gdyż zdaje mi się, że nią jesteś. Jeżeli tak, to bardzo się cieszę, że cię między czytelniczkami „Wieczorów” odnajduję, będziemy mogły z sobą korespondować. Mam nadzieję, że wiosną znów się spotkamy, a tymczasem przyjm serdeczny uścisk od Sarenki z nad Moroczku.

Kochana moja Paproci litewska! Zdaje mi się, że masz imię Matki Boskiej, a nazwisko zaczyna się od ostatniej litery alfabe-

tu. Jeżeli tak jest, to donieś mi, gdzie teraz się uczysz, co porabiasz i nie zapomnij o życzliwej Sarence z nad Moroczku.”

„Moja droga Sarenko z nad Moroczku! Wybacz mi, że tak długo nie odpisałam na twój liścik, przyczyniła się do tego niebytność moja w domu. Ja mam trzech braci, rozproszonych po całym świecie, jestem najmłodszą z rodzeństwa. Dlatego ten pseudonym wybrałam, że prawie ze wszystkich drzew to najwięcej lubię. Donieś mi, co porabiasz wieczorami, bo ja czytam lub nie nie robię. Całuję cię, Brzózka płacząca.”

„Kochana Siekierko! Odrazu odgadliśmy twoje imię, kochana kuzyneczko, ale ty nas nie odgadłaś, bo nigdy nie pisywaliśmy do Wieczorów Rodziny pod pseudonimem Jastrzębiat z nad Wieprza. Jest to jakieś inne gniazdo, nam nieznanne. Miło nam bardzo było wyczytać twoją odezwę. Całujemy cię serdecznie i dziękujemy za pamięć o nas. 12 letnia Mania z nad Wieprza.

„Miła moja Morelko! Bardzo mi się twój pseudonym podoba i dlatego piszę do ciebie, zapytując, gdzie się uczysz, czy w domu, czy na pensyi i czy mieszkasz na wsi, czy też w mieście, bo ja pobieram nauki od starszych siostr moich i mieszkam na wsi, a lat mam dwanaście, nazywam się Anusia. Już kończę mój list, bo Redakcyja gotowa mi go nie wydrukować. Odpisz mi a sprawisz tym wielką przyjemność twojej Regince.”

„Kochana Kruszyńko! Doszło do naszych uszu, że dlatego przestałaś pisywać do Wieczorów, że pomimo obietnicy, uczynionej ci przez redakcyę, nie wydrukowano twój łamigłówni botanicznej. Żle to, moja Kruszyńko, że tak łatwo się zrażasz; lepiej było zapytać redakcyę o przyczynę i dalej posyłać swe liściki i łamigłówni. Smutno nam, że się nie spotykamy z tą małą Kruszyńką, którą zawsze szczerze kochamy, Szary Kot.

„Kochana Gołąbko biała! Chciałabym cię poznać, lecz to niepodobna, nazywam się Ola, 9 lat skończyłam, mam siostrę starszą od siebie, nazywa się Mańcia, mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Napisz mi o sobie, przesyłam ci łamigłównę głoskową, twoja Czarownica z Kysiej góry.”

„Kochana Skałko z nad Teterowa! Dziękuję ci serdecznie za liścik, a odpowiadając na twoje pytania, donoszę, że tak jak ty mieszkam z rodzicami w Żytomierzu, uczę się w domu i mam lat 8. Siostrzyczki nie mam, ale mam dwóch małych braciśzków. Znamy się, kochana Skałko, i nieraz bawiłyśmy się razem. Przyjm serdeczne pozdrowienie od Muszelki z nad Teterowa.”

„Kochana Pliszko z nad Gopla! Dziękuję ci bardzo za liścik, wiem już teraz, kto jesteście, ty i Ex-Czapla. Ściskam was serdecznie. Pisujemy często do siebie, a może kiedy w Warszawie się poznamy. Pszczółka Litewska.

Wydany przez Redakcyję

Numer 21-szy.

PRZEGLADU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA :

Lekcyje autorów klasycznych, przez S. W. — Kilka uwag w kwestyi kształcenia samodzielności, przez Floryana Łagowskiego. — Czy nauka rachunków kształci siłę myślenia? — Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica (c. d.) — Walny Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. — Korespondencya, przez K. R. Krytyka i bibliografia: a) Aleksander Wielki. Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prewencyonalizmy, ocenił Dr. Mikołaj Bobowski. — Zakłady naukowe, Tłóm. B. — Odpowiedzi redakcyi.